DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I. — Poznań 10 czerwca, 1888 r. — Nr. 17.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedplacicieli krajowych; dla Galicyi 5 zlr. rocznie, 1 zlr. 25 cent. ćwierćrocznie, z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedplaciciele, odbierający „Dom polski“ w expedycyi, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w expedycyi,' ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko expedycya, lub redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

WILLA ERLACH.

Powieść przez **Ossipa Schubina.**

Z języka niemieckiego tłomaczyła **A. P.**

(Ciąg dalszy.)

Ach! mój Boże, wzdycha Stella, zdejmując przemokły płaszczyk, ale jesteśmy przynajmniej pod dachem, a to już dużo znaczy, mówi, otulając się pożyczoną od oberżystki grubą, czerwoną chustką.

W czasie tej rozmowy otyła gosposia wnosi na zielonej, blaszanej tacce olbrzymi półmisek jajecznicy, talerz surowej szynki i dwie szklanki piwa.

— Obstalowałem tę skromną kolacyą, mówi Rohritz po francuzku do Stelli; za dobroć potraw ręczyć nie mogę, ale w każdym razie byłoby mi bardzo przyjemnie, gdybyś się pani do ich skosztowania namówić dała.

Ale Stella nie ma nawet zamiaru gardzić przekąską.

— Ach! jak to dobrze, woła, siadając wesoło przy nakrytym stole, jestem strasznie głodna, a nie marzyłam nawet, że przed powrotem do domu coś zjeść będę mogła.

Jego ogarnia znów to poprzednie błogie uczucie — coza rozkosz siedzieć tak naprzeciwko niej; patrzeć dowoli w tę ładną, ożywioną twarzyczkę i bawić się wesołym jej szczebiotem. Coby to było za szczęście módz spędzić resztę życia obok niej; biedne, niekochane przez nikogo dziecię przycisnąć do swego serca, kochać nad wszystko i uszczęśliwić, o ile możności.

— Zrób to, zrób to, woła budzące się uczucie, będzie ci wdzięczną za twoję miłość i poślubi mimo siwych włosów.

— Nie czyń tego; to młode, niedoświadczone dziecię! zwalcza głos rozsądku czarowną pokusę. Chociaż dotychczas serce jej nikim jeszcze niezajęte, to gdy później...

Stella, nie domyślając się nawet tej walki w sercu Rohritza, szczebiocc, śmieje się wesoło, jedząc z zazdrości godnym apetytem proste, niewybredne potrawy.

— Jaka milutka ta nasza improwizowana kolacya; przypomina mi wesołe kolacyjki w hotelu Britannia, z któremi ojczulek zawsze czekał na mnie, kiedy zgłodniała wracałam z proszonych rautów i wieczorów. Towarzyskie zebrania w Wenecyi tem się chyba od innych różnią, że jedzenie — w ogóle skromne — zawsze jeszcze pod każdym względem wiele pozostawia do życzenia; pomimo to przecież czasem bardzo dobrze zabawić się można.

— Sądząc z powyższego zdania, występy pani nie ograniczyły się jedynie na balu u księżnej Giovanelli? przerywa jej Rohritz, rzucając badawcze, prawie niedyskrytne spojrzenie.

— Ojczulkowi bardzo o to chodziło; dopóki więc stan jego zdrowia był zadawalający, bywałam dużo w towarzystwie hrabiny L. Tygodniowe zebrania u lady Stair najwięcej mi przypadły do smaku; bawiłam się zawsze o tyle dobrze, o ile się wynudziłam u księżnej. Tańczę, co prawda, nieszczególnie, ale w rozmowie jestem dość biegła, kończy, śmiejąc się z własnej gadatliwości.

— Że jedzenie na wszystkich zebraniach jest niżej krytyki, o tem wiem z własnego doświadczenia — odpowiada Rohritz trochę zgryźliwie, ale jak w weneckiem towarzystwie zagustować można, tego właśnie pojąć nie mogę, mężczyźni tamtejsi szczególnie są nieznośni.

— Tego nie powiem, odpowiada Stella z naiwną powagą, kiwając główką, ja wcale tego nie uważałam.

— Musisz pani jednakże przyznać, że całe obejście Włochów jest tak niedystyngowane i pospolite, że ..

— Nie spotykałam przecież samych tylko Włochów, ale robiłam znajomości z Austryakami, Anglikami i Moskalami; — właśnie — mówi po chwilowym namyśle — jeden z moich najlepszych i najprzyjemniejszych znajomych, książę Cino-Capito, jest Włochem.

— On sam ma się za Wiedeńczyka.

— Niepodobna, przecież urodził się w Rzymie.

— Jak widzę, jesteś pani z historyą jego życia doskonale obznajmioną, odzywa się Rohritz z przekąsem.

— Byliśmy często razem; odpowiada Stella niezmieszana. Książę mieszkał z nami w jednym hotelu; przy *table d'hôte* siedzieliśmy obok siebie, w pogodne dni obwoził nas w swojej gondoli po kanale *Grande*, wieczorami grywał z ojcem w *écarté* — w ogóle był dla nas bardzo uprzejmym, czego mu naturalnie zapomnieć nie mogę.

— Wystawiam sobie to wszystko, odpowiada Rohritz półgłosem.

— Książę Capito zdaje się być dla pana antypatyczną osobą, zauważa Stella.

— O! bynajmniej, odparł zimno, jesteśmy nawet ze

sobą w bardzo dobrych i przyjaznych stosunkach, jako szwagrowie; starszy mój brat Edmund ma jego siostrę, Teresę Capito, za żonę.

— Ach! czy i ona jest taka piękna? pyta Stella naiwnie.

— Ma bardzo przyjemną, dystyngowaną powierzchowność, ale do brata zupełnie niepodobna. Czy pani znajdujesz młodego księcia pięknym? — pyta dziwnie ostrym głosem.

W tej chwili drzwi przyległego pokoju otwierają się i otyła gosposia stawia półmisek czerwonych, leśnych jagód na stole.

— Świeżo dziś po południu zerwane, oznajmia z tryumfem.

Stella dziękuje jej za smaczną kolacyą; gosposia uśmiecha się z zadowoleniem i mówi coś do Rohritza w niezrozumiałym dla Stelli karynckim języku. Rohritz za całą odpowiedź wkłada monokl, co u niego jest dowodem bardzo nieszczególnego humoru.

— O ile lat, mówiłaś pani, baronówno Stello, jestem za młody, aby być twoim ojcem? o pięć, czy o sześć, jeżeli się nie mylę? *Eh bien!* — tutajsza gospodyni jest innego zdania, winszowała mi właśnie takiej ładnej córki!

Ale Stella nie daje żadnej odpowiedzi, przerażona wpatruje się w białe koło ściennego zegara.

— Czyżby to już miało być pół do dwunastej? woła, ależ nie — zegar stoi na szczęście. Która właściwie godzina, baronie?

— Jest kwadrans na dwunastą, odpowiada Rohritz sam nieprzyjemnie zdziwiony; nie pojmuję, że posłaniec dotąd jeszcze nie wrócił.

— Na miłość boską, woła Stella zmieszana; co mama o mojej nieobecności pomyśli?

— Bądź pani rozsądną — nie ma w tem przecież pani winy, zresztą w willi Erlach wiedzą już zapewne o przerwanej komunikacyi, perswaduje Rohritz, sam mocno zakłopotany.

— Może, ale ponieważ mama nic nie wie o wypadku z końmi, więc sądzi, że dawno powinnibyśmy być w Wolfseg, gdzie na nas konie Leskjewitza czekają. Żałuję bardzo, że wuj mój nie pozostał z nami, a byłby może prędzej ze swoją energią doprowadził do końca.

— Myślę, że pomimo całego zapasu energii byłoby dlań prawdziwem niepodobieństwem przejechać wezbraną rzekę, odpowiada zirytowany.

— Możeby można czołnem spróbować przeprawy? pyta Stella z stłumionem łkaniem.

— Zobaczę, co się da zrobić — w każdym razie dołożę wszelkich starań, żeby pani baronowa Meineck po upływie pół godziny o nieobecności pani zawiadomioną została — mówi, wybiegając z pokoju.

— Czy ojciec pani wyszedł? pyta wchodząca właśnie gospodyni.

— Tak jest, wyszedł przekonać się, kiedy i czy w ogóle będzie można przejechać Sawę.

— Dzisiajszej nocy byłoby to prawdziwem niepodobieństwem, zawołała z przestrachem poczciwa kobieta — ale muszę zobaczyć, czy czasem nie zrobi tego, mówi, stawiając z pospiechem przyniesiony ser na stole i wybiegając z pokoju.

— Cóż on chce zrobić? Dla czego gospodyni miała taką wystraszoną minę, pyta Stella samę siebie z obawą. Pomimo dotkliwego bólu w nodze biegnie szybko do otwartego okna. Deszcz ustał nareszcie, wśród czarnych chmur ukazał się księżyc, rzucając blade, niepewne światło na pianą pokrytą, wzburzoną rzekę, na zabudowania gospodarskie, stojące tuż przy brzegu, na małe, wązkie czołenko w trzciną okrytej przystani. Tuż przy brzegu rysuje się cień wysokiej, smukłej postawy Rohritza, rozmawiającego żywo w niezrozumiałem dla niej narzeczu z jakimś obok stojącym człowiekiem.

Szalona obawa ściska serce biednej Stelli, obawa stokroć większa od poprzedniej przed połajaniem niesprawiedliwej i niewyrozumiałej matki.

— Nie wiem, jak mam wytłomaczyć ojcu panienki, że niemożliwym jest przejazd łódką — wszyscy rybacy odmówili przewiezienia, więc pan sam chce jechać, bo, jak powiada, musi koniecznie być w Wolfseg, odzywa się nagle tuż za Stellą donośny głos gospodyni.

Ale Stella, nie słuchając końca i nie zważając na skaleczoną nogę, wybiega szybko na dwór; przez błotnistą ulicę dostaje się na wybrzeże w chwili, kiedy Rohritz, stojąc w czołnie, odczepia łańcuch, przytrzymujący je w brzegu; ażeby podjąć tę niebezpieczną, śmiercią grożącą przeprawę.

— Na miłość Boską, czyś pan zwaryował, cóż chcesz robić? woła, przybiegając do brzegu.

Rohritz ogląda się; światło księżyca pada na pobladłą twarzyczkę Stelli, jego oczy spotykają się z jej wejrzeniem.

— Ażeby uchronić dobrą pani reputacyą, nie pozostało mi nic innego. Odepchnij czołno, mówi, zwracając się do rybaka.

— Nie — przerywa mu Stella — mnie nie chodziło o moję dobrą opinią, ja się po prostu obawiałam połajania mamy.

— Odepchnij czołno, zwraca się Rohritz do wahającego się rybaka.

— Dobrze, ale musisz mnie pan zabrać ze sobą, odpowiada stanowczo Stella. Przy tych słowach szybko wskakuje do czołna, uderzając nogą o twardy brzeg ławeczki. Ach! woła, upadając na spód łódki, a blada jej twarzyczka przybiera wyraz silnego cierpienia; to było szkaradnie z mej strony tak się obawiać połajania mamy; nie, sto razy wolę, żeby mama przez cały dzień do mnie ani słóweczka nie mówiła, niż gdybyś się pan miał utopić.

Dwie wyciągnięte rączki przytrzymują jego ramie ze drzeniem, para dużych, łzami zalanych oczu zatrzymuje się z wyrazem prośby na jego twarzy.

Widzisz, to szczęście u stóp twoich leży, skorzystaj i pochwyć je, niech ci opromieni życie, szepcą dokoła szumiące fale.

On sam traci prawie przytomność, z gwałtownem biciem serca schyla się, żeby ją podnieść.

— Stello, moje biedne, nierozsądne dziecię... zaczyna.

W tej chwili słychać turkot nadjeżdżającego powozu i głos rotmistrza, wołający Rohritza.

— Dobre imie pani uratowane, szepce, oddychając głęboko.

Następują obustronne objaśnienia; rotmistrz, powierzywszy generałowi lejce, który, jako prawdziwy dżentelman, ofiarował się odwieść panie do domu, sam w wypożyczonym powoziku zrobił dalszą drogę, chcąc opóźnionym przyjść z pomocą.

— Co się wam stało, że tu siedzicie, zamiast dawno być w Wolfseg? pyta zaciekawiony rotmistrz. Rohritz i Stella opowiadają razem swą podróż z przygodami, pan Leskjewitz śmieje się, lub dziwi na przemian, wstrząsając głową, lub zacierając ręce wesoło. Nareszcie siadają do niewielkiego kabryoletu, rotmistrz pełni funkcyą stangreta.

Stella, zmęczona różnorodnemi wrażeniami, zasypia wkrótce smacznie, nie czuje nic, że Rohritz otula ją starannie zesuniętą z ramion chustką.

— Biedaczka bardzo znużona, szepce, zwracając się do Leskjewitza, obawiam się, czy noga ją bardziej boleć nie będzie. Czyście się o nas obawiali?

— Katty najwięcej była niespokojna, a siostra moja z początku zachowywała się rozsądnie, dopóki niemądra Stazya nie zaczęła jej zawracać głowy brakiem taktu, pozorami przyzwoitości i tym podobnemi bredniami. Karolina rozgniewała się na dobre, wymyślała na was oboje, dość, że znudzony całą tą gadaniną odesłałem kobiety pod opieką generała do domu, a sam, najęwszy powozik, wyjechałem wam naprzeciwko. Ale powiedz no tylko, Edgarze, jak się Stella w czasie tej kampanii zachowywała?

— O! bardzo, nawet bardzo spokojnie.

— Dobre z niej dziewczę, nie prawdaż? biedactwo

i tak już wiele przeszło w życiu. No, nie chciałem tylko Stazyi przyznać słuszności, ale, mówiąc między nami, cała ta historya byłaby mi bardzo nieprzyjemną, gdyby kto inny był na twojem miejscu.

— Moje siwe włosy o wiele usprawiedliwiły położenie twojej siostrzenicy; właścicielka oberży wzięła mnie za jej ojca.

— Ach! głupstwo.

— A jednak to „głupstwo“ — jak mówisz — wstrzymało mnie od fałszywego może kroku, który inaczej byłbym z pewnością popełnił, ale *entre nous soit dit, n'en parlons jamais,* dodaje cichym głosem.

Pan Leskjewitz wzdycha głęboko; tłomaczy sobie, że fałszywy ten krok odnosi się jedynie do smutnej zmiany w finansach przyjaciela.

— Szkoda, myśli w duchu, że z tego nic nie będzie.

ROZDZIAŁ XV.

Było już po północy, kiedy stanęli nareszcie w Erlach. Wchodząc do jadalnej sali, zastają całe towarzystwo siedzące przy stole nad resztkami wysuszonego i przypalonego obiadu. Stazya w różowym, muślinowym negliżu zwraca się zaraz na wstępie do Rohritza:

— Wygrałam zakład! woła, klaszcząc w ręce — sześć par duńskich rękawiczek, bo trzeba ci wiedzieć, baronie, że założyłam się z Katty, iż się państwo na czas nie stawicie.

— Było to łatwem do przewidzenia przy nędznym stanie koni i popsutych drogach, odpowiada, marszcząc brwi z niezadowoleniem.

Obawy Stelli nie ziściły się. Baronowa, rozdrażniona złośliwemi uwagami Stazyi, miała głęboki żal do córki, gdy ją jednakże ujrzała z powrotem i do tego zdrową i dobrze wyglądającą, uczucie macierzyńskiej radości wzięło w niej górę i zadowolona z takiego zakończenia sprawy zapomniała o połajaniu.

Pan Leskjewitz, chcąc oszczędzić drażliwym uszom Rohritza niesmacznych przycinków Stazyi, a baronową ułagodzić ostatecznie, zaczyna detaliczne opowiadanie przygód bohatera i bohaterki dnia.

Katty, słuchająca z roztargnieniem relacyi męża, znajduje po długiem szukaniu leżący na bufecie, przed godziną może pod adresem Rohritza nadeszły telegram.

— Cóż się stało? pyta ze szczerem współczuciem, widząc po przeczytaniu bolesne wzruszenie na twarzy barona.

„Maurycy tknięty paraliżem — przybywaj natychmiast. Ernestyna.“

— Biedna Tynia, szepce, przeczytawszy głośno powyższą wiadomość. Muszę jutro wyjechać najwcześniejszym pociągiem — czy mógłbyś mi dać parę koni, Janie?

Rotmistrz posełа natychmiast do dzierżawcy spełnić życzenie przyjaciela, wkrótce też Rohritz żegna się z paniami, nie śmiejąc po odbytem zmęczeniu trudzić ich tak rano; rączkę Stelli zatrzymuje dłużej, niż zwykle, w szerokiej swej dłoni, zauważywszy, iż była, jak lód, zimna i że drżała silnie.

Kawalerskim zwyczajem pakowanie rzeczy nie zajmuje mu wiele czasu, obiecuje też sobie resztę nocy przespać smacznie, ale sen odbiegł daleko.... dziwny, rozkoszny jakiś niepokój przejmuje jego serce, to miłość doń szuka przystępu! „Wpuść mię, wpuść“ szepce czarodziejka, ale rozsądek stanął na straży i stawia opór zdrajczyni. Długo jeszcze przewracał się na łóżku, nie mogąc usnąć pomimo zmęczenia, dniało już, kiedy nareszcie zamknął znużone powieki. Dziwne sny opanowały jego wyobraźnię; zdawało mu się, że wyszedł na przechadzkę w ciepłą noc latową, promienie księżyca padały na ziemię, przezierając przez gęste gałęzie starej, rozłożystej lipy, tworząc fantastyczne cienie na żółtym, suchym piasku. Przy tem księżycowem świetle ujrzał mały, ciemny przedmiot, leżący na ziemi; schylił się, by go podnieść — była to mała, czarna ptaszyna, która, wypadłszy z rodzinnego gniazdka, smutnie i bezsilnie dużemi nań spoglądała oczyma. Zdjęty litością podniósł małe, opuszczone stworzonko i ogrzewał je, przyciskając do piersi; czuł, jak ptaszę, pokręciwszy się trochę w zamkniętej jego dłoni, utuliło się w niej spokojnie, on zaś całował bezustannie małą, ciepłą jego główkę, co mu niewysłowioną sprawiało przyjemność!

— Stello, biedne, ukochane, nierozsądne dziecię! szepnął przez sen.

Pukanie do drzwi służącego przerwało błogie marzenie, czas był wstawać, ażeby zdążyć przed odejściem pociągu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WYSPA GOTLAND.

Obrazek z podróży

ułożył

hrabia Wawrzyniec Benzelstjerna Engeström.

(Ciąg dalszy.)

Bogactwem wielkiem drzew owocowych i ich urodzajnością odznacza się cała *Gotlandya.* Owoc stanowi tu gałąź odrębną przemysłu i handlu domowego na równi z drzewem morwowem, które z wielką korzyścią jest uprawiane, a hodowlę jedwabników na wielką skalę umożebnia.

Błogosławiony to kraik; wesoły, zdrowy, bogaty — i bardzo słusznie to Szwedzi *Maderą* go swoją nazwali.

Wspomniałem już wyżej o wielkiej liczbie przybytków pańskich — starożytnych kościołów kamiennych, któremi cała *Gotlandya* gęsto zasiana, tak oryginalne za zbliżeniem się do niej na nas czyni wrażenie. I rzeczywiście, prawie każda wioska ma piękny kościół — niemal każdy, a przynajmniej przeważna ich liczba, mogłyby ozdobić poważne i większe miasto. Są to jakby katedry małe, wspaniałe zabytki architektury, które w zdumienie nas wprowadzają, bo, wspomniawszy na skromną liczbę mieszkańców kraju, dochodzimy do rezultatu, że na każde 600 dusz ludności teraźniejszej — jeden piękny i okazały kościół przypada.

Fenomenalne to bogactwo i liczba świątyń kamiennych tem się tłomaczy, że w dawnych średniowiecznych czasach cała niemal ludność przeważnie składała się z mularzy i kamieniarzy, że łatwy do obrobienia kamień wapienny i miękki marmur *gotlandzki,* z samych petryficatów złożony i tak powszechnie znany, stanowiły może jedyne bogactwo i zatrudnienie wyspiarzy rzemieślników. W owych czasach wszelkie roboty dla chwały Bożej odbywały się dobrowolną ofiarą — bezpłatnie. — Kraj podówczas gorąco był katolicki, a do tego bogaty i przedsiębiorczy, bogate więc pozostały ślady ducha i bogobojnej jego idei.

Na sinym i spiętrzonym brzegu, jakby sennej przeszłości widzeniem, wychyliło się miasto z morza — najeżone lasem baszt połamanych, zrębów i wieżyc kościelnych; szczerbatych murów i łomów starożytnego grodu to pozostałe szkielety, — niby z popiołów odkopana *Pompea!* To punkt centralny i jedyne miasto tej ziemi; — bogate i słynne, gruzami dziś zarzucone — po śnie wiekowego uśpienia wstająca dzisiaj mieścina morska — przesławne „Wysby!“ Zdziwieni i zadumani u brzegów stajem, nie umiejąc sobie zdać sprawy z rozłożonego na tej przestrzeni obrazu, i odgrzebując dopiero w pamięci te historyczne gruzy, jakoby w *Pomeańskiej* skarbnicy, zmarłych wspomnień gmachy prastare wydobywamy.

Zadziwia nas najpierw niepomału, przybywając do słynnego swym handlem i *Hanseatycką* potęgą miasta, że niewpływamy do rzeczywiście okazałego portu, że nie widzi-

my pod miastem prawdziwie wygodnej i bezpiecznej zatoki portowej, których tyle, a tak wspaniałych i pięknych napotkaliśmy na wybrzeżu. „Wysby," miasto dzisiajsze, takiego nie posiada, a w przeszłości port to był prawdopodobnie drugorzędny, więcej sztuką ludzką, aniżeli naturą przysposobiony.

Co pierwotnych Gotlandczyków skłoniło do obrania głównej siedziby handlu i ruchu na tej zachodnio-północnej wyżynie wyspy, niewiadomo zupełnie. Utrzymują niektórzy, że liczne zdroje wody tego wybrzeża były główną tego przyczyną, — inni powiadają, że miejsce to było dawniej poświęcone czci bogów i że tutaj składano pogańskiego obrządku ofiary. Rzeczywiście jednak pytanie to potąd nierozwiązane.

Co do założenia tego punktu handlowego, jego rozrostu i znaczenia, wiemy, że „*Wysby*" zawdzięcza przede wszystkiem swoję potęgę geograficznemu położeniu wyspy, która najstosowniejszą stannicą i punktem środkowym północy żeglarzom dawnych wieków się wydawała. Tutaj skupił się cały handel północnych narodów, które jeszcze przed jutrznią chrześciańskiego rozwoju zakładali tam składy i faktorye, prowadząc handel ze wschodem.

Historya wskazuje nam dowodnie, że od najdawniejszych czasów główną arteryą i źródłem bogactwa i handlu była — zawsze i wszędzie — droga do *Azyi* — do *Indyi* zwłaszcza! Najpierw zrozumieli to *Fenicyanie*, po nich *Alexandrya* i wyspa *Rhodus*. — Za niemi owładnęły morzami miasta włoskie i wytworzyła się z nich potęga *Wenecyi*. Był to zawsze cel jeden i jednolite zadanie, — *południowa droga do Indyi* przez *Egipt*, *Persyą* i *Czarne morze*. Inną znowu arteryą szedł handel w północ, tajemną prawie wyżyną; — przez ludy i kraje nieznane zarysowały się północne szlaki — i drogę nam *Bizantyńską* utorowały. Takim szlakiem, niedostępnym dla Śródziemnego morza, od wybrzeży *Kaspijskich* w głąb Słowiańszczyzny — przez ziemie i ludy Rossyjskie — Mongolskie i Fińskie — torowały się zwolna handlowych kresów pierwotne drożyny. Potęgą i bogactwem zasłynął *Nowogrod* — stamtąd zwolna się przebijając, rozbiegał się handel wschodu i trakt się wytworzył daleki, „*Śródziemnego morza północy*" sięgając. Spłynąwszy w *Bałtyk*, północną podniosł i ożywił *Europę*, sławną *Hansę* jej wytwarzając.

Za wzrostem i potęgą *Nowogrodu* rozwinęło się miasto „W*ysby*" i zakwitło bogactwem — stało się bowiem ogniskiem morskiego handlu i centralnym punktem drogi *północno-Indyjskiej*, w prawdziwą „*Wenecyą Bałtyku*" się zamieniając. Miasto stało się wkrótce międzynarodową potęgą, mieszcząc w sobie wszech narodów interesa handlowe, które daleko bardzo sięgały. *Wysby*, rozrastając się spiesznie, napełniło się wkrótce cudzoziemcami; — żywioł niemiecki silnie tutaj przeważał. Wrodzonym zwyczajem swoim rozwielmożnił się, rozgospodarzył i zapanował przeważnie; — Szwedzi — Duńczycy — Słowianie — przybysze z Flandryi i rozmaitych rodów drużyny łączyły się tu pospołem, rządząc i gospodarząc swobodnie. Przewaga germańska wzrosła tak ponad inne, iż były czasy, że w radzie miejskiej na 36 rajców połowa urzędów z prawa już Niemcom się należała, a zawsze jeden burmistrz szwedzki pospołu z Niemcem panował.

Wysby wyrosło na miasto wolne *Hanseatyckie* — i wszystkim narodom było przystępne — mieszały się tu wszystkie języki i wszystkie zbiegały ludy, coraz większym ruchem i zupełną międzynarodową swobodą bogactwo i sławę przynosząc. — Germanizacyjno-aneksyjnego systemu dni naszych nie znano jeszcze pod owe czasy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Do Ciebie.......

O! nie rozpaczaj i powróć, aniele,
Patrz, ja łzy gorzkie leję — roztęskniona....
Byłam — przyznaję — „okrutna," szalona!
Lecz ty nic nie wiesz, jak cierpiałam wiele.

Gdybyś mógł spojrzeć w me serce otwarte,
Strwożone oczy odwróciłbyś — smętny —
Tak straszną ono męczarnią rozdarte,
Tak widok jego ponury i wstrętny.

Pragnęłam walczyć w nadziei zwycięztwa,
Odwagę swoję przeceniłam śmiele,
Padam zemdlona.... wyczerpawszy siły!...

W nadludzkiej walce niestało mi męztwa!...
Wróć!... ja Cię kocham, mój smutny aniele,
Pójdziem we dwoje do .... cichej mogiły!

J...a.

Woltyżerka.

Komedya w jednym akcie

przez

Emila Pohl'a.

(Ciąg dalszy.)

CEZAR.

Nie przerywaj, czas ubiega, a ja mam ci jeszcze wiele do powiedzenia.

ENGELHARD

Dotychczas jednak nie widzę nic nadzwyczajnego w twem opowiadaniu, nic, coby usprawiedliwiało twój niepokój.

CEZAR.

Nadzwyczajne zaraz przyjdzie, potrzebuję zastępcy, piorunochronu.

ENGELHARD.

Czyż więc mam być piorunochronem wobec twej narzeczonej? Dziękuję.

CEZAR.

Ale gdzież tam. Oczekuję w tej chwili wizyty innej damy.

ENGELHARD.

Tu, teraz? Innej? Oj! ty mormonie!

CEZAR.

Posłuchaj. Owa dama musi zaraz nadjechać i to na pozor wbrew swej woli.

ENGELHARD.

„Na pozor — wbrew swej woli" — tego nie rozumiem.

CEZAR.

Przyjedzie powozem, powóz się wywróci i ona zawoła o pomoc.

ENGELHARD.

Zawoła?

CEZAR.

Wybiegasz z pokoju, wynosisz ją z powozu, wprowadzasz do salonu, pocieszasz ją, zjadasz z nią kolacyą i ni-

komu na myśl nie przyjdzie, że wszystko to było naprzód ukartowane.

ENGELHARD.

A ktoż jest owa „ukartowana" dama, jeżeli wolno zapytać?

CEZAR.

Claire.

ENGELHARD.

Claire?

CEZAR.

Słynna Claire — wiesz przecież.

ENGELHARD.

Nie mam pojęcia.

CEZAR.

Claire Bellerosa, zachwycająca woltyżerka z cyrku.

ENGELHARD (*chce odchodzić.*)

Dobranoc ci.

CEZAR.

Ależ zostań.

ENGELHARD.

A więc dla tego miałem odejść, dla tego to zimne przyjęcie i zimne mięso, podczas gdy w kuchni pieką się bażanty; gdym tu wchodził, doszedł mnie ich zapach.

CEZAR.

Przebacz mi.

ENGELHARD.

Szkaradny człowiek. Chce się żenić, a wyprawia takie kawałki z aktorką cyrkową.

CEZAR.

O! to zachwycające stworzonko ta Bellerosa, przytem uczciwa i bardzo dbała o swe dobre imie.

ENGELHARD.

Widać to, skoro nawet gotowa wypaść z powozu.

CEZAR.

Odmówiła wszystkich innych zaproszeń. Wówczas zaproponowałem jej, aby przybyła pozornie przymuszona. Umówiliśmy się, że na drodze do willi stworzę jej przeszkodę, powóz wywraca — rycerski młodzian oddaje jej swój dom na usługi — cały świat wiedzieć o tem może, ba i w dodatku znajdzie się jeszcze ciekawy artykulik w „Dzienniku": Słynną i uwielbianą woltyżerkę spotkało wczoraj nieszczęście itd. itd. — To robi reklamę.

ENGELHARD.

Nieszczęsny! A jeżeli ona przy wywróceniu kark skręci?

CEZAR.

Bracie — woltyżerka!...

ENGELHARD.

Prawda, takie zapewne zawsze lekko spadają.

CEZAR.

Przytem powóz jest wyściełany i wywróci się na siano.

ENGELHARD.

Dla czego opowiadasz mi te wszystkie okropności z „Tysiąca nocy i jednej."

CEZAR.

Zamiast mnie, ty masz ją przyjąć.

ENGELHARD.

Ani mi się śni.

CEZAR.

Zrób to dla mnie. Wytłomacz mnie przed nią, naturalnie pod kwiatkiem.

ENGELHARD.

Nie mam pojęcia, jak się mówi z woltyżerką pod kwiatkiem.

CEZAR.

Wobec ciebie całe to zajście, które ją tu sprowadzi do domu, musi być czystym przypadkiem. Powiesz jej: mój przyjaciel musiał wyjechać z powodu ważnej sprawy.

ENGELHARD.

Pojechał do swej narzeczonej.

CEZAR.

Głupstwo, wymyśl co innego.

ENGELHARD.

Mnie tak łatwo nie przychodzi kłamać, jak tobie. Zresztą nie umiem mówić z tego rodzaju „damami." Nie posiadam najmniejszych wiadomości hypologicznych. Daj mi pokój (*Chce odchodzić.*)

CEZAR.

Gdy ją poznasz, przekonasz się, że rozmowa z nią jest bardzo łatwa i jeżeli nie stawiasz zbyt wielkich wymagań, uznasz ją nawet za dystyngowaną. W każdym razie parę godzin mile ci z nią zejdzie. Zrób to dla mnie, moj drogi.

ENGELHARD.

Dobrze, ale pod jednym warunkiem.

CEZAR.

Pod jakim?

ENGELHARD.

Że nie będę obowiązanym brać się do niej.

CEZAR (*śmiejąc się.*)

Od tego chętnie cię zwalniam. A zatem rzecz skończona. Wytłomacz mnie, mów o mnie same pochlebne rzeczy i wyraź jej moje ubolewanie nad tem, że właśnie dzisiaj musiałem wyjechać. A teraz czas na mnie. Żegnam cię.

ENGELHARD.

Poczekaj chwilkę. Jakiż powód mam jej podać, że ciebie tu nie ma.

CEZAR.

Jaki zechcesz. Wymyśl coś wiarogodnego. (*Wraca się.*) Jeszcze jedno, najważniejsze: nie mów do niej, jak do woltyżerki, bo ona nieszczęśliwa, gdy jej kto przypomina cyrkowy zawód. Jest to także jednym z jej kaprysów. Przyjmij ją niby damę z dobrego towarzystwa, a będzie w dobrym humorze i ty przytem się zabawisz. Adieu! (*przy drzwiach.*)

ENGELHARD.

Czy nie obawiasz się, abym cię nie wyrugował z jej serca?

CEZAR

Bynajmniej. Ha, ha, ha! (*wychodzi.*)

SCENA VI.

ENGELHARD (*sam.*)

Ani mi się też nie śni. Jakiż to lekkomyślny człowiek. Nie pojmuję, jak można robić tyle zachodów dla tak nędznej awantury. Co mu z tego przyjdzie? *Tête-à-tête* z linoskoczką uważam za nader komiczną przyjemność (*ziewa.*) Zresztą jestem bardzo zmęczony i owa Belladonna czy Rosa mało znajdzie przyjemności w mej rozmowie. Nie zastawszy Cezara, powinna wkrótce odjechać. Oby tylko odważna dziewczyna nie poniosła jakiego szwanku! Chciałbym temu zaradzić. Ale jak? A gdybym też stanął przed kupą siana i konie uchwycił za cugle? Wziąłby mnie niezawodnie za rozbójnika i gotowaby mi wydrapać oczy paznogciami. Nie mogę odważyć się na to przez wzgląd na me piękne oczy. — Nie —

Franciszek musi na drodze stanąć z latarnią i przeszkodzić jej upadkowi. Wtenczas ja przystąpię do powozu, poproszę, aby zawróciła, ona powraca do miasta i rzecz skończona. Tak będzie najmędrzej. (*Chce iść. — Słychać głuchy trzask i zmieszane głosy.*) Nieba, za późno. Już wywróciła.

SCENA VII.

ENGELHARD, OTON (*z lewej strony.*)

OTON.
Jaśnie panie, powóz jakiś wywrócił.

ENGELHARD.
Wiem

OTON.
Siedząca w nim dama...

ENGELHARD (*z komiczną rozpaczą.*)
Skręciła kark, wiem.

OTON.
Nie kark.

ENGELHARD.
Ale złamała rękę — wiem.

OTON.
Dama wyszła bez szwanku, ale koń uszkodzony i dyszel złamany.

ENGELHARD.
Dzięki niebu, że ta historya tak dobrze się skończyła.

OTON.
Czy jaśnie pan nie zechce prosić tej damy do salonu?

ENGELHARD.
Nie, wprowadź ty ją tutaj, Otonie. Odchodzę na chwilę, aby przyjść do siebie. (*do siebie.*) Zobaczę przez szparę, czy w ogóle warto się pokazać. (*odchodzi na prawo.*)

SCENA VIII.

OTON, ŁUCYA, LOKAJ.

OTON (*idzie do drzwi na lewo i otwiera je.*)
Zaraz idę — ach! otoż i ona.

ŁUCYA (*z lewej strony, wspierana przez lokaja.*)
Jakiż fatalny wypadek!

OTON (*biegnie, aby Łucyą podtrzymywać.*)
Pozwól, pani.

ŁUCYA.
Nie potrzeba. Już mi lepiej.

OTON.
Przecież nie zraniłaś się panienka.

ŁUCYA.
Nie, ale ten przestrach! — Przepraszam, że tak niespodzianie tu się zjawiam. Ktoż jest panem tego domu?

OTON (*uśmiechając się.*)
Pan baron Cezar Wedding.

ŁUCYA (*rozgląda się mile zdziwiona.*)
To oryginalne. Niezwykle dziwny zbieg okoliczności. Gdzie jest pan baron?

OTON (*z chytrym uśmiechem.*)
Niestety! nie ma go w domu. Jednakże nic pani na tem nie stracisz. Pan Meiningshausen, przyjaciel i sąsiad pana barona, także młody i bardzo przyjemny człowiek, robi honory domu. Natychmiast biegnę oznajmić mu zachwycające przybycie, pani a niezawodnie niezmiernie się ucieszy. (*Odchodząc, do siebie.*) Sławnie gra komedyą ta mała. (*wychodzi na prawo.*)

SCENA IX.

ŁUCYA. LOKAJ.

ŁUCYA (*patrzy za nim.*)
Co jest temu człowiekowi? Uśmiechał się tak dziwnie, jakoby niedowierzał, że przybywam tu niespodzianie. Baron jest bez wątpienia na zamku u matki, będą się o mnie kłopotali. Muszę uwiadomić tę zacną matronę. Ach! otoż i biórko. (*odkłada kapelusz, rękawiczki, siada i pisze.*) Janie! (*służący zbliża się.*) Musisz natychmiast udać się na zamek. Doniosę o całem zajściu i poproszę o powóz. Pospiesz się tylko. (*pisze.*)

SCENA X.

ŁUCYA. LOKAJ. ENGELHARD. OTON.

OTON (*wchodząc na palcach po cichu z prawej strony.*)
Tam siedzi.

ENGELHARD (*cicho do Otona.*)
Już się rozgościła.

OTON (*cicho do Engelharda.*)
Wszystko ukartowaliśmy znakomicie — poszło cudownie.

ENGELHARD (*cicho, z gniewem.*)
Trzymaj język, Leporello.

OTON.
Do usług. (*wychodząc, do siebie.*) Śmieszna zazdrość. (*odchodzi na lewo.*)

SCENA XI.

ŁUCYA. LOKAJ. ENGELHARD.

ŁUCYA (*do lokaja, nie widząc Engelharda.*)
Tu masz list. Jedź natychmiast.

(*lokaj odchodzi na lewo.*)

ENGELHARD (*do siebie.*)
Ułożyłem sobie plan. Przemówię jej do sumienia i sprobuję nawrócić ją na drogę cnoty.

ŁUCYA (*odwraca się, spostrzega Engelharda.*)
A, jakiś pan. —

ENGELHARD (*do siebie.*)
Do kaduka, jaka ładna.

ŁUCYA (*do siebie.*)
Zdaje się, że to jest ów m ł o d y c z ł o w i e k, o którym mówił służący.

ENGELHARD.
Że ten chłopak ma dobry gust, to i nieprzyjaciel musi przyznać, a wygląda tak dystyngowanie, iż możnaby przysiądz, że to prawdziwa dama.

ŁUCYA (*do siebie.*)
On zdaje się niemy; muszę sama zacząć rozmowę. (*głośno.*) Pojmujesz pan, że nieszczęśliwy przypadek, który mnie tu sprowadził...

ENGELHARD (*przerywając.*)
Pojmuję, pojmuję. Tak, jest to przypadkowie oryginalny przypadek ów przypadek.

ŁUCYA.
Przede wszystkiem pozwól pan, że mu się przedstawię. Jestem...

ENGELHARD.
Nie potrzeba, bynajmniej nie potrzeba.

ŁUCYA (*zdziwiona.*)
Nie potrzeba? A więc pan mnie już znasz?

ENGELHARD.
Nie, to nie, ale baron wspominał, że pani tego nie lubisz i nie dziwię się temu zupełnie. Ktożby lubił, żeby mu ciągle przypominano taką karkołomną sztukę.

ŁUCYA (*coraz więcej zdziwiona.*)
Nie rozumiem pana. Ach! pan masz na myśli ów przypadek.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRYTYCZNY POGLĄD

na sztuczne pożywki dla niemowląt i dzieci,

napisał

Dr. Józef Koszutski.

(Ciąg dalszy. — Zob. Nr. 16.)

Mieszanka śmietankowa Biederta (Biederts Rahmgemenge) jest owym następnym wyrobem mlecznym, o którym obszerniej tu pomówić nam wypada; nietylko bowiem twórca jej sam także obszernie o niej się rozpisał,*) ale ona była i jest od czasu do czasu przedmiotem badań i źródłem ożywionych rozpraw na zjazdach lekarzy dzieci.

Dr. Filip Biedert z Hagenau, chcąc uzyskać pożywkę dla niemowląt słabowitych, nieznoszących mleka krowiego, choćby nawet z dodatkiem klejku owsianego, lub jęczmiennego, wreszcie i dla dzieci skłonnych do cierpień przewlekłych przewodu pokarmowego, wybrał na ten cel śmietankę, zbieraną w godzinę po wydojeniu krów i nalaniu mleka w naczynie dostatecznie szerokie.

Śmietanka słodka posiada $9\frac{1}{2}\%$ tłuszczu (masła,) 3% cukru mlecznego i 4% sernika.

Aby uzyskać pożywkę, mającą zawierać tylko 1% sernika, tenże zawiesić tak, aby nie w ścisłych kawałach, lecz drobniutkich strzępkach, w żołądku się zcinał i aby ta pożywka sama od dnia pierwszego służyła niemowlęciu za zastępcę pokarmu matki, zestawił Biedert swą mieszankę śmietankową w następny sposób.

Uzbierawszy $\frac{1}{8}$ litra śmietanki z dwóch litrów mleka dobrego i świeżego, dolewał do niej $\frac{3}{8}$ litra przegotowanej wody i dosypywał dwie małe łyżeczki cukru mlecznego, następnie gotował uzyskany płyn dostatecznie, studził i chował w zamkniętych naczyniach. Mieszanka ta śmietankowa zawiera zdaniem jego 1% sernika, $2{,}4\%$ tłuszczu (masła) i $3{,}6\%$ cukru mlecznego. Sernik jej zcinać się ma w żołądku w drobnych strzępkach — a cukier i tłuszcz, które posiadają już chemiczne i fizykalne własności tychże samych części składowych w **mleku matki**, zawarte są zdaniem Biederta w mieszance śmietankowej w zbliżonej bardzo ilości do tej liczby, jaka znaną nam już jest **w tym ideale pożywienia.** (zob. strona 46 Domu polskiego.)

Podnieść tu wypada, że Biedert mieszankę swą dwa razy dziennie świeżo przyrządzać każe, a oprócz tego w jaknajczystszych butelkach i chłodno przechowywać radzi i to, by ją przed rozkładem zapewnić.

Pożywkę tę sztuczną podaje się w takich samych odstępach czasu — co pokarm matki, a ciepłota jej do 28° Réaumura dochodzić powinna.

Stosownie do wieku konsumenta i do objawów jego trawienia — zaleca Biedert dolewanie do mieszanki pewnej ilości przegotowanego mleka słodkiego. Jeśli niemowlę trawi sernik dodanego mleka zupełnie, natenczas stopniowo dolewając, na samem mleku ostatecznie poprzestać można. W przeciwnym razie, to jest jeśli zauważymy, że mleko czyli sernik niestrawiony z kiszek się wydziela, natenczas przez pewien przeciąg czasu przy samej mieszance pozostać jeszcze trzeba.

Mieszankę śmietankową Biederta polecił już z pewnym zapałem cały szereg autorów, jak: Herzog,[1]) Banze,[2]) Vogel,[3]) Kormann,[4]) Soltmann,[5]) Monti, Martin i inni — najdokładniejszy i najbezstronniejszy zaś sąd o niej wydał bez wątpienia Raudnitz[6]) i Jacobi.[7])

Z poważnych prac tych dwóch wnioskować musimy, że mieszanka Biederta tylko u dzieci starszych, odłączonych, do cierpień przewlekłych przewodu pokarmowego skłonnych i **to tylko w pewnych, ściśle określonych wypadkach zastosowaną być może.** W wielu cierpieniach kiszek niemowląt i dzieci stała się ona powodem przewlekłych zaburzeń i tylko, jak to twierdzi Epstein, z dodatkiem białka używaną być mogła.[8])

Monti podaje nam, że mieszanka Biederta, podawana dzieciom, które, piersią matki karmione, nie znajdowały w niej dostatecznego pokarmu, bardzo dobre oddawała usługi i że nawet najsłabsze dzieci dobrze ją znosiły.

Prof. Jacobi zwraca Biedertowi uwagę, że śmietanka rano i wieczorem nie jest równą i że sernik mleka krowiego różni się chemicznie i fizykalnie od sernika w mleku matki, dalej, że pierwszy ani strawniejszym, ani zawieszonym w mieszance jego nie jest — a cała praca mniemanego ułatwienia trawienia powierzoną jest tu wyłącznie tłuszczowi i obecności cukru mlecznego. Łatwości w przyrządzaniu tej sztucznej pożywki, jako i łatwości trawienia tejże autor ten dopatrzeć się w mieszance Biederta nie może.

Podobny sąd o pomyśle Biederta wydał dr. Ludwik Fleischmann,[9]) który zamiast mieszanki Biederta radzi podawać niemowlętom i dzieciom słabym mleko dobre z rosołem i to w stosunku 1—2, 1—1 i 2—1.

Dr. Bagiński godzi się na ten sposób żywienia rosołem, nazywa go wyśmienitym — zwłaszcza w ostatnich miesiącach pierwszego roku życia niemowlęcia.

---

*) Dr. Philipp Biedert. Die Kinderernährung im Säuglingsalter. Stuttgart. (Enke) 1880.
Biedert. Ueber künstliche Kinderernährung. Jahrbuch f. Kinderheilkunde XI. 117.
Biedert. Weitere Beiträge zur Kenntniss und Behandlung von Darmaffectionen im Säuglingsalter.
Jahrbuch f. Kinderheilkunde XII S. 366.

[1]) Dr. Joseph Herzog. Der gegenwärtige Stand der künstlichen Kinderernährung. Separat-Abdruck aus dem Mittheilungen des Vereins der Aerzte in Steiermark 1880.
[2]) Dr. Banze (Wien) Archiv f. Kinderheilkunde III Band 5 et 6 Heft. S. 234.
[3]) Prof. Dr. Alfred Vogel (München) IX Auflage bearbeitet von Dr. Ph. Biedert. (Hagenau) 1887 Enke. Stuttgart.
[4]) Kormann. Jahrbuch f. Kinderheilkunde XIV 2. 3. S 238.
[5]) Prof. Dr. O. Soltmann. Ueber die Behandlung der wichtigsten Magen Darmkrankheiten des Säuglings. Tübingen. 1886. Seite 19.
[6]) Dr. S. W. Raudnitz. (Versuche mit Biederts Rahmgemenge Prager med. Wochenschrift 1882 Nr. 27.
[7]) Prof. Dr. A. Jacobi, New-York. (Die Pflege und Ernährung des Kindes von Dr. A. Jacobi. Handbuch der Kinderkrankheiten I Band Seite 377 herausgegeben von prof. Dr. C. Gerhardt. Tübingen 1877.
[8]) Alois Epstein. Ueber acuten Bruchdurchfall der Säuglinge und seine Behandlung.
Prag. med. Wochenschrift 1881. Nr. 33.
[9]) Dr. L. Fleischmann. Die Ernährung der Säuglingsalters dargestellt auf wissenschaftlicher Grundlage.

Dr. Uffelmann poleca znowu sam tylko rosoł wołowy, gotowany w butelce — o czem później obszerniej pomówimy.

W naszych stosunkach, gdzie o mleko dobre nie tak trudno postarać nam się przychodzi, wystarczy — zdaniem naszem — nawet i dla dzieci słabszych dolanie doń odpowiednie i użycie klejku, lub herbaty czarnej, aby przedostać się przez owe chwile niepokoju, w przewodzie pokarmowym ponieķąd się pojawiające. Mając przez przeciąg dwudziestu kilku lat często sposobność leczenia cierpień przewodu pokarmowego u niemowląt i dzieci — ani razu do owej mieszanki Biederta, znanej nam od czasu pierwszych jej występów, uciekać się nie byliśmy zmuszeni. (C. d. n.)

Wiadomości artystyczne.

W Paryżu w „Comédie française“ odegrano w ostatnich dniach maja dwie premiery: „Flibustierowie“ Richepin'a i „Pocałunek“ Banville'a. Pan Richepin już w ubiegłym roku okazał wysokie swoje zdolności rymotworcze, mniej może sceniczne, w „Nanie Sahib“ i „Mistrzu Scapin;“ ostatni jego trzyaktowy poemat dramatyczny odznacza się przede wszystkiem bujną fantazyą, jędrną krzepkością i ognistym temperamentem, natomiast poważna krytyka zarzuca młodemu autorowi brak wprawy w silnem przeprowadzeniu namiętności, w umiejętnem stopniowaniu akcyi i w sceniczności, które to usterki znamionują również wzmiankowane wyżej dwa poprzednie utwory p. Richepin. Harmonia języka i obrazowość jest główną zaletą „Flibustierów,“ których treść podajemy w kilku słowach: Stary marynarz Franciszek przez ośm lat oczekuje w trwodze i niepokoju swego ukochanego wnuka, Piotra, jedyną nadzieję i osłodę życia, podczas gdy morze pochłonęło już całą jego rodzinę. Ale, niestety! przyjaciel Piotra, Jakób, wraca sam z wyprawy i przynosi straszną wieść o zgonie ostatniego potomka marynarza. Siostrzenica tegoż, Janka, chcąc oszczędzić starcowi boleści strasznej, ukrywa przed nim wiadomość złowrogą i Jakób uchodzi od tej chwili za prawdziwego wnuka Franciszka. Janka, dawniej przyrzeczona Piotrowi, ma obecnie wyjść za jego następcę, Jakóba, którego od pierwszej chwili całem sercem ukochała, kochana nawzajem. Wtem zjawia się nagle Piotr, którego miano za umarłego, a rozgniewany marynarz wydala z domu Jakóba, uważając go za podstępnego intryganta. W końcu przecież niewinność Jakóba się wykrywa, i tenże w akcie trzecim łączy się ze swą ukochaną.

O „Pocałunku“ p. Banville'a wyraża się jeden z krytyków paryzkich, że to „istna pianka cukrowa, lekka, połyskująca świetnemi barwy. Bogactwo rymów, harmonia rytmów, oryginalnych zwrotów olśniewa niby fantastyczna *féerie.* Zdaje się, że nie ludzie, ale bogowie Olimpu myśli swe ubierają w purpurowe szaty dyalogu.“

Sądzimy, że podobna krytyka wystarczy do zapewnienia dziełu powodzenia, zwłaszcza, że przyczyniają się do tego grą swą znakomitą panna Reichemberg i p. Coquelin młodszy.

W paryzkiej „Operze komicznej“ wystawiono w końcu maja sztukę wielce cenionego, poważnego francuzkiego kompozytora, Edwarda Lalo, p. t. „Król Ys.“ Wartość utworu, jak piszą krytycy, polega mniej na inwencyi i melodyjności, jak na harmonii i rytmice, na subtelnem uczuciu i wybitnem wdzięku całości.

W teatrach warszawskich, jako premiery, ściągają obecnie publiczność następujące sztuki: w *teatrze letnim* „Stryj i synowiec“ panny A. Triplinównej; w *nowym teatrze* trzyaktowa farsa: „Córki na wydaniu“ Zimowicza, „Dekorowany“, fraszka Meilhac'a (w ostatnim czasie do grona akademików zaliczonego) „Testament panny Cornillon,“ wreszcie „Romeo i Julia.“

Promyki.

Kto *znosi*, ten zawsze czuje ciężar, kto *ulega*, ciężaru nie czuje. — Szczęśliwa *dusza uległa*, jej to Bóg do dzieł swych używa.

Przyczyną niezadowolenia jednostki, czy też rodziny całej jest niezawodnie *nieobecność Boga*. Chcesz gasnącym duszom przywrócić życie w całej pełni i wypogodzić ich niebo — *przywróć im Boga.*

W razie niewiadomości odpowiedz szczerze: *nie wiem;* wstydzić się winien nie ten, który czego nie wie, ale ten, kto chce oszukać o swej wiedzy.

Przywyknij do upodobania w rozkoszach umysłowych, one mniej kosztują od uciech zmysłowych, materyalnych; są żywsze, trwalsze, prawdziwsze i mniej niebezpieczne.

Duchy wielkie nie upadają pod brzemieniem nieszczęść, ale się hartują, podnoszą w wyżyny i nabierają potrzebnej siły do spełnienia wzniosłych czynów.

Gdy na czyjem czole ujrzę ślad żałobny, wyciśniony kolejami życia, wtedy marzy mi się, że moje słowo, lub przyjaźń, lub ręki uścisk może w tych piersiach na nowo obudzić życie. (Z. Krasiński)

Są tak gwałtowne, tak porywające uczucia, że rozum przeciwko nim jest tylko przedrzeźniającym buffonem, ale nie zaradczym lekarzem. Ile walk zniosłem, jak powoli giąłem się pod tą fatalnością, jak darłem się z samym sobą i rozdarłem siebie, to mnie i Bogu pozostanie wiadomem. (Zygmunt Krasiński.)

Czy miłość może znikać *na rozkaz* naszej woli, jak mgła pod promieniem słońca?... lub czy może *na rozkaz* budzić się i wyrastać w sercu?.... (Rody Broughton.)

Rozwiązanie logogryfu w nr. 14 „Domu polskiego.“

1. Maciejów. — 2. Admirał. — 3. Raba. — 4. Giełgud. — 5. Inflanty. — 6. Epaminondas. — 7. Rodał. — 8. Iłża. — 9. Strogonow. — 10. Tytus. — 11. Ateny. — 12. Rajtar. — 13. Echo. — 14. Wesołek — 15. Romeo. — 16. Opium. — 17. Topol. — 18. Alabanda.

Margier i Stare wrota. Władysław Syrokomla.

Pierwsze dobre rozwiązania jednocześnie nadesłali i nagrodę otrzymali: p. Zofia Rutkowska i p. Hipolit Cegielski z Poznania; p. K. Kościński z Nowego w Prusach zachodnich i p. Zielińska z Lublińca.

Nadto dobrze rozwiązali: pp. Zofia Jaczyńska i Jadwiga Marcinkowska z Piask, p. Gapiński z Linówca i p. Halina Bogusławska z Poznania.

LISTKI.

P. Zielińskiej w Lublińcu: Łaskawą Panią prosimy uprzejmie o dokładniejszy adres, abyśmy Jej nagrodę przesłać mogli.

P. A. K. w T. Z przesłanej nam pracy korzystać nie możemy, odeślemy ją pocztą. Dobre chęci oceniamy i wdzięczni za nie jesteśmy.

Pani I. w K. Miej Pani „odwagę;“ redakcya pobłażliwa, umie przytem dochować tajemnicy.

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.